Rozmaitości

Dnia 3. lutego Nr 5. 1838 roku.

TOURVILLE I ANDRONIKA.

USTĘP Z DZIEJÓW FRANCUZKIÉJ MARYNARKI.

Przez Eug. Sue.

...Pan de Bivonne, wydawszy potrzebne rozkazy dla zapobieżenia wszelkiemu nieszczęściu, wszedł do swojéj kajuty, gdzie ile mógł jak najwygodniéj wyciągnął swe nogi na poduszce. Oficérowie znajdujący się na statku *Capitane* i oczekujący na odpłynienie swoich szalup, nie mogli się wstrzymać od śmiéchu, gdy pan de Bivonne, leżący niedbale w tyle kajuty, zapytał swego Stewarda, stojącego na wschodach kajuty, ażali jego limoniadę do lodu wstawił. »Wstawił, najłaskawszy panie!« odpowiedział tenże z uszanowaniem, wskazując na służącego, który stał przy wnijściu do kajuty, a teraz właśnie niósł obszérne ołowiane naczynie, kawałkiem bawełnianéj materyi okryte. W tém naczyniu znajdowała się karafka z ochłodzonym napojem, który jenerał zwykł był pijać w czasie obiadu, a najszczególniéj po obiedzie. Pan de Bivonne, postrzegłszy śmiéch oficérów, rzekł z ową drwiącą, spokojną niedbałością, która go zwykle charakteryzowała: »Jak mi Bóg miły! panie de Vancy, mnie się zdaje, że ci panicze śmieją się z méj puchowéj poduszki i z mego zimnego likworu, który pijam! Szczęściem, że na drwiny tych panów mam pewne lekarstwo, podobnie jak owo zwiérzę — nie wiém, jak się ono nazywa — które obok trucizny, ma zarazem i lekarstwo na truciznę... Przysięgam na Lukulla! byłoby to nierozsądkiem odmawiać sobie wygody dla tego, że człowiek jest wojownikiem. Osobliwsza logika jak mnie Bóg miły! Nie chcecież może dla tego ani jeść, ani pić dzisiaj, że jutro ciérpieć głód i pragnienie będziecie musieli, albo dla tego, żeście może wczoraj ani jedli, ani pili? Dla czegoż na drodze sławy mamy się biedzić po czartowsku, gdy ją z największą wygodą w lektyce przebyć możemy? Czyliż zwycięztwa Lukulla nad Mitrydatem odniesione, mniéj były zaszczytne lub mniéj ważne dla Rzymu, że Lukull jadał wieczerzę? Jak sądzisz p. de Vancy?«

De Vancy, człowiek ograniczonego rozumu, i zwyczajny cel szyderstw pana de Bivonne, udając, jak gdyby zrozumiał to nieco wyszukane porównanie klasyczne, odrzekł: »Zapewne, że nie jenerale, i szkoda wielka, że kawalera Tourville nié ma teraz na okręcie naszym; pan jenerał pewnie byś go z jego dziwactw uleczył; kawaler ten, jak powiadają, ma być tak surowym w zarządzie swego okrętu, iż każdy oficér jednym tylko służącym obchodzić się musi. A to jeszcze nie wszystko! Czyliż on nie przywłaszczył sobie holenderskiego, przesadzonego zwyczaju, i nie każe codziennie myć i szurować pokładu swéj fregaty, jak gdyby to pałacowa posadzka była?«

»To prawda, mówią, iż na jego okręcie nadzwyczajna czystość panuje.«

»A do tego dziwactwa i to jeszcze przydać należy, że kawaler de Tourville bardzo śmieszno się ubiéra; jakże on nie wygląda z temi karmazynowemi bufami! Dla tego ja zawsze swoje mówię, że on jest po mężku ubraną kobiétą!«

»On... kobiétą!... On? Androniki wdzięko-urokliwéj, kochanek tajno-tęskliwy!... No, patrzcież, przysięgam na Apolina, mimo woli wiérsz ulałem! Tak, w samej rzeczy! A n d r o n i k i w d z i ę k o - u r o k l i w é j, k o c h a n e k t a j n o - t ę s k l i w y! Na honor! Napiszę do Rasyna list wiérszem, i od tych słów zacznę:

Androniki wdzięko-urokliwéj, kochanek tajno-tęskliwy!«

»Ależ, najłaskawszy panie, chciéj mi powiedzieć, co to jest za jedna ta Andronika wdzięko-urokliwa?«

»Ah! to jest ciekawa historyja, a przytém bardzo smutna historyja! Ale co do tego seladona z karmazynowémi bufami, trzeba ci wiedzieć, że on wcale nie jest kobiétą i że rąbie diabelsko, a do tego już od bardzo dawna. Jak mi Bóg miły! Lat temu będzie dziesięć, jak objeżdżał morze Sródziemne; zaczął on jako ochotnik na pokładzie fregaty, którą Hocquincourt w Marsylii na pognębienie pohańców zbudował. Wiadomość tę o kawalerze de Tourville mam od jednego starego, ale jak skała twardego żeglarza, z którym krążyłem razem pod Algiérem, gdzie był jednego palnego statku kapitanem i stérnikiem. Byłto prawdziwy pohaniec, szatan z siwą głową, który pomimo, że miał lat sześćdziesiąt z okładem, grał, klął i rąbał po diabelsku! Tym starym hultajem byłCruvillier poczciwy.«

»Jako? ten sławny korsarz Cruvillier? I ty najłaskawszy panie widziałeś na własne oczy tego nieustraszonego korsarza?«

»A jużci, jak mi Bóg miły! Ty, jak widzę dziwisz się temu!... Działo się to podczas mojéj morskiéj wyprawy, gdym krążył podAlgiérem. Od tego korsarza, jak powiadam, powziąłem dokładną wiadomość o piérwszéj wyprawie morskiéj kawalera de Tourville. Stary, poczciwy Cruvillier służył wtedy za majtka u Hocquincourta, i w tym roku właśnie parzyli diabelsko Turków. Byłoto, ile sobie przypomnieć mogę w r. 1658 albo 1659, jakoż wyznać potrzeba, iż to było niezmiernie dziwno, że ten biały i smukły kawaler, nie mający wiecéj nad szesnaście lub lat siedmnaście, szukając przygód, a z nich sławy, wszedł pomiędzy lewanckich, barczystych korsarzy, którzy, jak diabły, czarni byli. Stary, poczciwy Cruvillier powiadał mi, iż w owym dniu gdy kawaler de Tourville zaciągnął się do służby, on właśnie wtedy znajdował się na pokładzie fregaty Hocquincourta, który go dla porady jakiejś, był do siebie zaprosił. Stary pohaniec Cruvillier, jakem już nadmienił, był rozpustnym i jak diabeł bezwstydnym. Skoro ujrzał niebieskie oko, rumiane lice i mchem nieporosłą, gładką brodę tego młodego kawalera już na głos zawołał, że pan de Tourville nie jest mężczyzną, ale dziewczyną, którą Hocquincourt wziął na pokład swego okrętu. Stary grzésznik ten, nie zastanowiwszy się bynajmniéj, nad tém co mówił, zaczął używać do niego najnieprzyzwoitszych wyrazów, mówiąc iż wcale nie przystoi dziewczynie ubiérać się po męzku. Ale Tourville nic nie odrzekł, tylko odstąpiwszy na krok jeden w tył, taki mu tęgi wyciął policzek, że ciemno-ceglaste lice korsarza, jakby ściana zbladło. Hocquincourt, który się z początku na głos roześmiał, pospieszył ich uspokoić, lecz już było za późno. Tourville, dla udowodnienia, że nie jest córką Ewy, porwał w rękę szpadę; stary, poczciwy Cruvillier nie mniéj był rozgniewanym, klął jak barbarzyniec, i przysięgał na niebo i piekło, że wszystko, co mu w drodze stanie, popłata na szczęty i na miazgę stłucze. Obadwaj postanowili wysiąść na ląd i natychmiast szpadami się rozprawić. I tak się stało. Cruvillier był jednym z owych dawnych niebezpiecznych szermierzy, wyćwiczonych w szkole weneckiéj; Tourville się popisywał w różnym rodzaju zapaśnictwa w akademii Renoncourt. Stanęli do rozprawy. Szpady się w krzyż złożyły, a po kilku śmiałych, przedziwnych z obu stron pchnięciach, szkoła wenecka od akademii Renonkurckiéj wzięła tak głęboką ranę, że krew strumieniem trysnęła; co ujrzawszy młoda akademija, w głos się rozpłakała; byłoto bowiem po raz piérwszy, że krew płynąca widziała. Stary, poczciwy Cruvillier nie gniewał się przezto na niego bynajmniéj, i owszém, od tego dnia był jego najszczérszym przyjacielem i zawsze nazywał go piękną blondyną przy szpadzie.

W kilka tygodni po tym pojedynku, który Tourvillowi u wszystkich okrętowych wielką miłość zjednał, fregata Hocquincourta razem z fregatą Cruvilliera, który tymczasem zupełnie był przyszedł do zdrowia, rozwinęły swe żagle. Piękna blondyna przy szpadzie, znajdująca się jako ochotnik na fregacie Hocquincourta, pełniła, jak mi powiadano, nito najlichszy chłopiec okrętowy, wszelką służbę majtka, wyjąwszy, iż dla zachowania swych rąk białych, rękawiczki wdziéwał, a dla ochronienia od słońca delikatnéj swéj cery, szérokim kapeluszem pilśniowym, głowę nakrywał; prócz tego miał on ze sobą poko-

jowca, który go aż do zbytku i mył i czesał, i perfumował i pięknił, którego umyślnie z sobą na to przywiózł; bowiem ci Tourvillowie pochodzą z znakomitego domu w Normandyi i znaczny posiadają majątek. Otoż tedy Hocquincourt i Cruvillier popłynęli najprzód ku Malcie, dla dowiedzenia się, pod jaką szérokością będą mogli nabyć sławy w obronie chorągwi krzyża świętego; co właściwie znaczyło złupić pohańców i pogrążyć w nędzy ich żony i dzieci. Niektóre litościwe osoby wskazały tym obudwom korsarzom prądy Wenetyki i Carary, gdzie od kilku dni przebywali tureccy korsarze, czatujący na pięć okrętów genueńskich, które z bogatym ładunkiem z odnogi weneckiej wypłynąć miały. Obadwaj nasi obrońcy religii, posterowali natychmiast na te miejsca, i zaledwo kilka godzin po tych wodach pokrążyli, Cruvillier, który swą fregatą *la sainte Ampoule* wprzód płynął, postrzegł dwa okręty, o których natychmiast znakami oznajmił, i bieg swój wstrzymał, aby zaczekać na Hocquincourta, którego fregata, *l'étoile de Diane*, nie tak szybko jak *la sainte Ampoule* płynęła. Turcy postrzegłszy obrót okrętów chrześcijańskich, zaczęli się spieszno uzbrajać i gotować do walki. Hocquincourt, który biało-włosego kawalera nie spuszczał z oka, powiadał, że ten za zbliżaniem się niebezpieczeństwa, które dla niego na ówczas było nowém, bynajmniej z swojego stanowiska nie ustąpił, zdjął tylko jakąś świętą, czyli miłosną relikwiję z swéj piersi, i ucałowawszy ją kilkakroć razy z serdeczną pobożnością, schował ją znowu w zanadrze. Potém ściągnął mocniéj rzemień od szpady, którym był opasany, wdział na siebie zbrój stalową, włożył na głowę przyłbicę, podciągnął w górę półbóciki z białéj skóry jeleniéj z pozłacanémi obcasami, i podług rozkazu Hocquincourta, stanął na wyższém piętrze okrętowém.*)

Tymczasem wszystkie przygotowania te, nie zastraszyły bynajmniej nieprzyjacioł, i owszém obadwa tureckie okręty zbliżywszy się z największą śmiałością, dały ognia ze wszystkich dział swoich i do Hocquincourta i do Cruvilliera. Korsarze wytrzymali ten pierwszy ogień, nie odpowiedzieli nań ani jednym z dział wystrzałem; lecz skoro podpłynęli na wystrzał z pistoletu, jęli ciskać na nich granaty, strzelali z muszkietów i innéj broni. Turcy, którym w ten sposób dogrzewano, omal że się nie podusili pośród ognia i dymu artyleryi chrześcijańskiéj; starali się pozyskać wiatr dla siebie, by cokolwiek odetchnąć; lecz wszelkie usiłowania ich były nadaremne. Hocquincourt i Cruvillier, pognawszy za nimi i zabiegłszy im drogę, na nowo dogrzewali im wystrzałami z dział i muszkietów, nareszcie dopiekli im do tego stopnia, że Turcy chcąc nie chcąc musieli się wziąć do zahaczenia. Rzucono haki, a chrześcijanie i pohańcy uderzyli na siebie z najzaciętszą gwałtownością; największym junakiem w téj zmieszanéj bitwie była piękna blondyna z swoją szpadą; rąbał szablą jak siekierą, ale i sam otrzymał i w głowę i w kiras kilka potężnych razów. Turcy widząc, że ich tak gorąco przyjęto, zaczęli żałować, że się wzięli do zahaczenia, poodcinali więc czém prędzéj sznury od swych haków i zamyślili umykać na szérokie morze.«

»Do sto tysięcy nieszczęścia! łaskawy panie; to była diable krótka sprawa!«

»Zaczekaj tylko de Vancy, zaczekaj i bądź ostrożniéjszym w swych przepowiedniach; Bóg Turków jest wielkim, a Mahomet jest jego prorokiem, a tego masz zaraz dowód: w chwili, gdy Turcy mieli się już za zgubionych i umknąć się starali, nadesłał im diabeł czyli też ich prorok, dwa przyjazne okręty, które właśnie wtedy około przylądku Matagan krążyły, gdzie się odbywała bitwa. Te okręty zleciały na odgłos wrzawy, jak zlatują kruki do ciał wisielców, gdy ich swoją wonią powabia.«

»A to jest przypadek, najłaskawszy panie, który całéj téj rzeczy inną postać daje!«

»Uwaga twoja jest bardzo rozsądna, mój panie de Vancy, a najlepszym dowodem tego jest to, że Turcy, którzy już zupełnie byli pokonanymi, widząc, iż im tak niespodziana nadeszła odsiecz, wszczęli krzyk radosny i dla swojéj uciechy na okręty Hocquincourta i Cruvilliera dwa lub trzy razy z dział swoich ognia dali. Widzisz więc, panie de Vancy, że *la sainte Ampoule* i *l'étoile de Diane* nie były

*) Wyższe piętro okrętowe nazywa się przestrzeń między tylnym i przednim masztem; jestto miejsce w okrętach, do którego Turcy najczęściéj atak przypuszczać zwykli.**) (Autor.)

**) Zwyczaj ten mają także inni żeglarze, a to z tego powodu, ponieważ to miejsce jest jedném w okręcie, na które skutecznie uderzyć można. (Tłumacz.)

w najprzyjemniejszém położeniu; każdy z tych okrętow musiał walczyć z dwoma okrętami nieprzyjacielskiemi; było ich bowiem wszystkich cztéry, z których dwa były zupełnie świéże, i tak często udowodniały chrześcijanom, że mają dobry proch i doskonałych artylerzystów, że Hocquincourt, wytrzymawszy tę nową walkę prawie przez całą godzinę i utraciwszy połowę swoich ludzi i wszystkie prawie żagle, był przymuszonym przemówić do swoich ochotników temi słowy: »Mości panowie! jeżeli tak dłużéj będziemy grali w kręgle, przegramy niezawodnie, bo tamci mają po dwie kule na każdą naszę jednę. Sprobujmy raczéj zahaczyć jednego z tych renegatów dla zrównania się cokolwiek w sile, inaczéj przedziurawią nas, i zatopią niechybnie. Wolontaryjusze przystali chętnie na jego zdanie; Hocquincourt rozkazał sternikowi rzucić haki na ten okręt nieprzyjacielski, co już z słabszym walczył zapałem; zawijają więc w bok nieprzyjacielskiego okrętu, zarzucają nań haki, a kawaler de Tourville w towarzystwie piętnastu ochotników, jak rączy jeleń wskoczywszy na jego pokład, rąbie w około siebie i wycina w pień wszystko, co mu się tylko nawinie, tak dalece, iż pohańcy w mniemaniu, że to jest szatan w człowieczéj postaci, upadłszy przed nim na kolana, poddają się i proszą o życie. Tym sposobem blondyn ten, zaraz w piérwszéj wyprawie swojéj na słonéj wodzie, opanował okręt turecki; bowiem po skończonéj potyczce przyznali jednogłośnie wszyscy, że zwycięztwo to winni byli jedynie jego nieustraszonéj odwadze, bo onto był najpiérwszy, który rzucił swym haki na okręt i zachęcił ochotników przykładem.«

»A drudzyż Turcy, czy się także dali zahaczyć, najłaskawszy panie?«

»O nie, panie de Vancy, przysięgam na Lucypera! Na ten widok odpadła ich chętka żywić się z naszéj kuchni; bo gdy drugi Turek ucierający się z *l'étoile de Diane* postrzegł, jaki skutek pociągnęło za sobą zahaczenie, natychmiast podał tył, a Hocquincourt już nie gonił za nim, bo wolał pilnować swéj zdobyczy. W ciągu kiedy trwała utarczka, nie było czasu patrzyć, co robi poczciwy Cruvillier, zwłaszcza, że kłęby dymu widzieć przeszkadzały; ale skoro się sprawa skończyła, dostrzegł Hocquincourt zaraz, że na dwa wystrzały z dział, *la sainte Ampoule* ucierała się gorąco z jednym nieprzyjacielskim okrętem, drugi zaś sterował na otwarte morze, dla dostania się do swego towarzysza, który już jak najspieszniéj uciekał. Hocquincourt, nie tracąc czasu, uderzył na pohańca bijącego się z Cruvillierem, ale ten ujrzawszy, że od *la sainte Ampoule* i *l'étoile de Diane* był zamkniętym, uznał za rzecz przyzwoitszą poddać się, niżli w koralowéj grocie Amfitryty jeść ostatnią wieczerzę baranią, coby go nawet przy dłuższym odporze w saméj rzeczy było nie minęło. Po téj rozprawie każden obejrzał swoje ciało, ile w sobie dziur mieściło; przy tym przeglądzie postrzegł Tourville, że go włócznią w bok powitano, a wkrótce potém dostrzegł także, że jego piękne blond włosy, od szabli, która cokolwiek czaszki mu nadruszyła, pomierzwionémi zostały.«

»Do stu katów! ależboto było cokolwiek za wiele na piérwszą bitwę, łaskawy panie!«

(Dokończenie nastąpi).

WSPOMNIENIA

Z WĘDRÓWKI PRZEZ GÓRY OLBRZYMIE

(Riesengebirge) w roku 1837.

II. FÜRSTENSTEIN.*)

Po południu wyjechaliśmy z Landshuta. Z ciężkiém sercem opuściliśmy dom, tak przyjacielski, tak gościnny F. Kto wié, czy kiedy w wędrówce życia zbliżymy się jeszcze do siebie, czyli tak błogich, tak wesołych dożyjemy chwil, jak były te, któreśmy z sobą w kąpielach w Graffenbergu i tu w Landshucie spędzili! W życiu chwila chwilkę goni, wesołe i tęskne wiążą się godziny; szczęśliwy, kto w swéj pielgrzymce znajdzie bratnie dusze, które w zimnym stepie świata jeszcze wspomnieniem, jak błogie przyświecają mu gwiazdy! Z pięknego, drzewami owocowémi obsadzonego gościńca, zjechaliśmy w bok ku Fürstenstein. A jak trudno, jak niepodobna skréślić słowami te uczucia niezrozumiałéj, tajemniczéj, pomimowolnéj radości i tęsknoty, które w téjże saméj chwilce serce nasze rozdwajają! Są takie, chociaż bardzo rzadkie chwile w życiu człowieka, w których radość wydobywa się z samego uczucia istnienia, od żadnych zewnętrznych wpływów niezawisła; wtenczas każda myśl smutku, udręczenia, niepokoju, bojaźni, stroni od nas; nie masz prze-

*) Ob: N. 1. Rozm. z r. b.

szłości, któraby nas wspomnieniem nękała; nić masz przyszłości, któraby nas niepokoiła; wszystkie zmysły, potęgą duszy ujarzmione, dla niéj dzielność swoję rozwijają; oko zachwycone błądzi po błękicie nieba, i po całéj naturze, która, jakby misterną ręką założony ogród, coraz nowe przedstawia obrazy. Ostatni promień zachodzącego słońca, przebijał się krwawo przez ciemne chmury, spoczywające na grzbiecie gór olbrzymich; u stóp ich zamki w słabém oświeceniu, odłamom skał podobne, i wioski i miasteczka, po równinie porozrzucane; ulice, ogrody, cieniste gaje, szémrzącemi potokami przerznięte; cała natura przedstawiała nam się w pięknéj mozaice, pełnéj powabu i życia. Wieczór był cichy, tylko srébrne brzmienie dzwonów poblizkich kościołów poruszało powietrze; gdzie niegdzie wieśniak wracający do chaty, klęcząc przed kamiennym krzyżem lub obrazem Bogarodzicy, na konarze starego drzewa przybitym, stłumionym głosem *Ave Maria* odmawiał. Wjechaliśmy w gęstwinę lasu, a stare, rozłożyste dęby i olbrzymie jodły, zasłoniły nam widok w oddal; lecz wkrótce ujrzeliśmy szczyty zamku rycerskiego Vorstenburg, na wysokiéj skale, groźno spoglądającego w dolinę. Przed oberżą w włoskim stylu z piękną kolumnadą wystawioną, stanęliśmy. W poblizkości nowego zamieszkałego zamku, usiedliśmy na ławeczce, pod staremi, rozłożystémi lipami, które obszérny plac, drogą do zamku wiodącą przecięty, przed oberżą ocieniają. O, jak ta czarująca okolica, słabym księżyca promieniem oświécona, do duszy mojéj przemawiała! Spaniały ten zamek, w pośrodku przepysznych zakładów, do których założenia natura i sztuka równie się wysiliły; w oddaleniu pasmo gór olbrzymich, między niemi śnieżna Kopa, jako obelisk natury się wznosząca, a o kilkaset kroków zamek Vorstenburg, 1288 stóp nad powierzchnią morza położony, na prostopadłéj skale, z rozwalonémi, wyłamanémi murami, wieżami, łukami! Turkot pojazdów przerwał uroczystą ciszę, podróżni mężczyzni i kobiety, wysiadłszy z powozów, usiedli pod lipami i wesoła wszczęła się rozmowa: o przyjemnościach podróży, o pięknościach natury i t. p. Lecz wieczór był chłodny, wiatr zimny szumiał po drzewach, a czarne chmury, jakby w biegu wstrzymane, wisiały groźno nad murami Vorstenburgu, który wkrótce w ciemną noc pogrążony, znikł oczom naszym! Chwilowo tylko ogniem błyskawicy oświetlony, która ciemne rozdziérała chmury, jakby groźny sen przeszłości, oczom się objawiał i duszę przerażał! Chcieliśmy już wrócić do naszych pokojów, gdy z po za lip dał się słyszeć dźwięk arfy, a stary, wędrujący muzyk, drżącym głosem zaczął opiéwać przygody sławnego rycerza Schellendorfa, jego śmierć i zburzenie zamku Vorstenburg, za czasów Jérzego Podiebrada. Spiéw jego był smutny, jak i cała treść piosenki, a gdy opiéwał śmierć Schellendorfa, który z wierzchołka wieży, walącéj się w pośród krwawych płomieni, klątwę na oblegających rzucając nieprzyjacioł, własnym przebił się mieczem; grzmot przerwał spiéw starca, a zamek w piorunowym mignął się nam ogniu. Wicher, grzmoty i nawalny dészcz przymusiły nas czém prędzéj schronić się do oberży. Chociaż znużeni byliśmy podróżą, grzmoty jednak nie dawały nam nadziei odpoczynku. W pięknéj, obszérnéj bilarowéj sali, słabém światłem lampy oświéconéj, zeszliśmy się wszyscy. Głębokie panowało milczenie, a zégar zamkowy, pośród huku grzmotów, wybił jedénastą godzinę. Piękna, blada dziewczyna, usiadłszy do fortepianu, srébrnym głosem w którym łza drżała, zaczęła spiéwać piosnkę Kaspra Hauser, ulubioną nad brzegami Renu: *Schuldlos und rein tratt ich ins Leben.* Ta postać anielska, ten spiéw żalu, tęsknoty, który nie z piersi, ale z serca jéj się wydobywał, w słodkie pogrążyły mnie marzenia. Myśl w rodzinne przeniosła mnie strony i wskrzesiła pamięć owych tak błogich chwil, gdzie pośród burz życia, życie serca było tylko łzą i spiéwem! Grzmot coraz daléj się usuwał i głucho już tylko wtorował ostatnim wrotkom smutnéj piosenki! Lecz wkrótce i grzmot umilkł i spiéw ucichł, a księżyc, wysunąwszy się z pod ciemnéj chmury, nieśmiało zajrzał do okien i otarł promieniem miłosnym, łzę z óczu spiéwaczki! Nazajutrz rano wyjechała do Salzbrunu.

Byłato niedziela; po burzliwéj nocy słońce jasno po spaniałym tocząc się błękicie, błyszczało w kroplach dészczu i rosy, po gałęziach i kwiatach zawieszonych. Dano nam przewodnika ze służby hrabiego Hochberga, teraźniejszego posiadacza zamku i okolicznych włości. W szwajcarni zatrzymaliśmy się na śniadanie. W schludnéj izdebce, młoda, piękna gospodyni przyniosła nam chleba i mléka, i bawiła nas opowiadaniami o teraźniejszym posiadaczu zamku. Romantyczne miejsca przechadzkowe, tworząc zachwycające partyje, ciągną się wzdłuż czystego, krętego potoku, w głębokim rozlegu, ściśniętym dwoma murami dzikich, różnokształtnych, drzewami po części obrośniętych skał. Wysepka, do któréj eleganckim przybić można bacikiem, pośród małego jeziorka, w którego czystych falach drżą szczyty zamku rycérskiego; piękne i liczne mostki, brzég z brzegiem, skałę ze skałą łączące; pawilony; dziwaczne przejścia przez skał wyłomy; potok raz dziko o skały z hukiem się łamiący, to znów, jakby wąż, srébrną fal połyskujący łuską pomiędzy kwiaty się kręcący; grób olbrzyma (przeszedłszy tak zwaną cieśninę Gibraltaru), zadziwiający olbrzymią wielkością i oryginalnością skał; pustelnia romantycznie w drzewach ukryta; świątynia Karoliny

siedzenie myśliwego; dwa zamki: terazniejszość i przeszłość, dumnie na siebie spoglądajac, przedstawiające te wszystkie części pojedyńcze, tak rozmaicie rozdzielone, w jednę harmonyjną całość spływają. Lecz najciekawszą część tych zakładów stanowi ta, w której zamek stary pośrodku starych jodeł i twardych skał dumnie się wznosi. Ganki, warownie, baszty, tajemne schody, więzienia, łuki, sklepienia, wewnętrzne urządzenie pokojów, obicia, gobeliny, sprzęty, obrazy, kredensa, zbroje, wszystko, wewnątrz i zewnątrz zamku, nosi na sobie piętno rycérstwa wieku piętnastego. W kaplicy zamkowéj, nowo wyrestaurowanéj, z oknami gotyckiemi, obraz Stéj Anny, dziwnéj piękności, pędzła sławnego Fischbeina, zachwyca znawców sztuki i pobożnych podróżnych. Naprzeciw zamku jest plac turnieju, z lożami, galeryjami, gdzie w r. 1800 odbyli turniéj obywatele okoliczni, na cześć króla i zmarłéj królowéj Pruskiéj Ludwiki, w sposób dawnego rycérstwa. O jak odmienne wrażenie sprawia widok zamku starożytnego, a tego miejsca tak złudnie urządzonego! Tam z każdego kamienia, z każdéj cegiełki wyłamanéj, omszonéj, prawda silnie do duszy przemawia i w dawne przenosi ją wieki. Duch rycérstwa groźnie nad temi unosi się wieżami, a szczęk zardzewiałéj zbroi, trącony ręką ciekawego karla, szyderczém i smutném przeraża nas echem! Lecz co już żyć przestało, z grobu nie powstanie więcéj, a gdy przeszłość nowém chce się odrodzić życiem, jako postać grobowa stoi na placu wielkiego turnieju świata, ludzie z podziwieniem i przestrachem rzucą na nię okiem i lecą w burzliwą przyszłość!

Czarujący widok zachwycił nas z galeryi zamku nowego. W dół patrząc, dolina, którąśmy przebiegli, na drugiéj stronie wału stary zamek, do koła porozrzucane piękne domki. W cieniu gór olbrzymich, między któremi śnieżna Kopa, góra Cukrowa, Bociania i inne, szczególnym kształtem odznaczały się; miasta Wrocław, Świdnica, Reichenau, Lignica, kąpiele w Salzbrun, Altwasser i wiele innych miast, miasteczek i wsi, najpiękniejsze tworzyło panorama. Zamek bogaty w piękne marmury, płaskorzeźby, mieści znaczną galeryję obrazów i księgozbiór z 40.000 tomów. Słońce już było wysoko, gdyśmy z Fürstenstein do Salzbrunu wyjechali.

KAROL ANTONIEWICZ.

MIŁOŚĆ I BÓL ZĘBÓW.

Przez M. G. Safira.

Miłość i ból zębów! dwie niewysłowione boleści dla tych, którzy ich doznają; lecz mało znaczące dla tych, którzy ich nie czują. »Cóżto jest temu lub owej?« — Są rozkochani... mają ból zębów« — »No, jeżli nic więcéj, to mniejsza!«

Oto zwyczajne zdania o miłości i o bolu zębów! Choruje li kto w domu na miłość lub na ból zębów, każdy członek rodziny wié przeciw temu niezawodne lekarstwo. Papa mówi: że to rumatyzm, który sam przez się ustaje. Wujaszek mówi, że to jest fluxyja, należy się ciepło trzymać. Guwernantka mówi: najlepszą rzeczą, bynajmniéj o tém nie myślić. Ciotunia mówi: kazać sobie ząb bolący wyjąć, a natomiast zdrowy wstawić. Mądry sąsiad mówi: zatkaj sobie uszy, a to ci niezawodnie pomoże. Słowem, nié masz tak ograniczonego człowieka w świecie, któryby na miłość i ból zębów nie wiedział jakiego doświadczonego lekarstwa.

Najwięcéj lekarstw na miłość i ból zębów wiedzą stare matrony i starzy grzesznicy, którzy przezto, że już sami zęby i miłość postradali, nié mają ani bolu zębów, ani bolu serca.

Wszyscy owi ludzie, którzy postradali swe zęby przez słodycze, a serce przez rozkosz i rozpustę, nie wierzą, że mogą boléć zdrowe zęby, ani téż, że może chorować zdrowe serce; a to jest rzeczą bardzo naturalną, gdyż sami już ani swych zębów, ani swych serc czuć nie mogą.

Miłość i ból zębów mają to ze sobą wspólnego, że nas najczęściéj w nocy napadają, że wtedy jakby szaleni biegamy i jak lunatycy na gładkie ściany wspinać się chcemy!

Ale cóż bardziéj dojmuje: ból zębów, czy ból miłości? Gdy jedno i drugie razem napadnie człowieka, któreż mocniejsze? *Voyons!*

Na rogu ulicy Frydéryka, w Berlinie, na piérwszém piętrze, mieszkał zakochany autor, a tym byłem Ja.

Zakochaną dziewczyną była córka radzcy sprawiedliwości. Otóż wszystko, czego czytelnikowi z naszych osobistych stosunków pobieżnie udzielić mogę. Jeszcze mi tylko to dodać wolno, że moja ulubiona lubiła się aż do zbytku stroić, i że niemiłosiernie zazdrośną była; ta rzecz jest pragmatycznie historyczną i do naszych dziejów należącą.

Chęć strojenia się należy do izby finansowéj, a zazdrość do komórki sercowéj. Chęć strojenia się jest pawiem, im starsza tém słabszą; ale zazdrość jest krokodylem, im starsza tém więcéj krwiożerczą. Ale cóż jest mocniejsze, czy chęć strojenia się, czy zazdrość, gdy się razem zejdą w jednéj osobie? *Voyons!*

Na przeciw mego okna, na drugim rogu ulicy przylepiano wszystkie teatralne i koncertowe afisze.

Kochanka moja chodziła zwykle z swoją matunią o dziesiątéj z rana na przechadzkę i obiedwie stawały na rogu dla czytania afiszów. Byłato ich zwyczajna lektiura uliczna. Jeżeli więc, tak ramię podniosła, jak gdyby matce coś na afiszu wskazać chciała, i palec na miejscu postawiła,

gdzie się zwykle: »Początek o godzinie siódméj,« umieszcza; wtedy stojąc za zazdrostką mego okna z dalowidem w ręku, wiedziałem dobrze, że wyznaczona godzina była — siódma. Gdy przytém drugiéj ręki palec podniosła, wiedziałem wtedy, że jednę godzinę przyczyniła, i że godzina przeznaczona była, ósma i t. d. Wszystko to wiedziałem po jéj palcach, które dla mnie telegrafem były. Miłość jest przemyślną w wynalazki! Franklin wynalazł tylko jedno narzędzie na ściąganie piorunu, miłość wynajduje co chwila inny konduktor i na grad i na serce i na różne rzeczy, które są. Dotąd spór wiodą, kto igłę magnesową wynalazł; a ja powiadam, któż inny, jeżeli nie miłość! Była ósma godzina, ja stałem na umówioném miejscu — prawdę powiedziawszy, stałem pode drzwiami przy giełdzie, gdzie teraz stoi waza granitowa — i czekałem. Czekałem, nie przychodziła, czekałem jeszcze, nie przychodziła! Byłbym może i dotąd czekał, gdyby koło mnie nie przebiegł chłopiec z swoim towarzyszem; było chłopiec w służbie pana radzcy sprawiedliwości, który spojrzawszy na mnie, rzucił mi orzech włoski pod nogi, i zniknął. Podjąłem orzech z ziemi, nie znalazłem wprawdzie w nim jądra, ale znalazłem los szczęścia, zwiniętą karteczkę:

»Przyjść nie mogę! Sławna Anatole (tak się zwała piérwsza berlińska modniarka) przyjechała dzisiaj z Paryża, wćpan czujesz, jak ważném to zdarzenie, muszę jeszcze dzisiaj w wieczór pójść do niej, za nim drudzy co lepszego wybiorą. Bądź zdrów, mój najsłodszy!«

Nie byłem ja wcale słodkim, a przynajmniéj nie byłem w téj chwili! Tymczasem: »Przed modniarką sama nawet miłość chorągiew zwinie!« Otóż i ja, najsłodszy, zwiesiłem nos, i poszedłem z kwaśną miną, jak niepyszny, do domu.

We dwa dni potém miałem nieznośny ból zębów, który mi tak dojmował, jak gdyby mi kto sztyletami serce przeszywał. Nabrzmiałe lice zasłoniło mi całe lewe oko; nadąłem się mimowoli, wyglądałem jak zimowe jabłko, z jednéj strony blade, a z drugiéj, jak ogień, czerwone. Ona, idąc ulicą, postawiła palec na owém miejscu afisza, gdzie stało: »Poczatek o godzinie siódméj,« przytknęła go powtórnie, niby dla potwierdzenia, i poszła sobie z swoją kochaną mamą daléj.

Ja, widząc ten index z okna, spociłem się z radości, posłałem natychmiast po mojego lekarza, i rzekłem: »P. konsylijarzu, mam interes bardzo ważny, niezwłoczny, który koniecznie wymaga, abym wyszedł.« Lekarz radził, abym wcale nie wychodził, inaczéj będę miał różę na twarzy. Grot śmiertelny!

Jeżeli byłem w wielkiéj rozpaczy, nie mniejszą była i transpiracyja, w któréj zostawałem! Cóż było robić. Będąc jedno-oki, z wykrzywioną gębą, postanowiłem do niej list napisać.

Opisałem jéj moję podwójną boleść i moję pojedyńczą rozpacz; odmalowałem jéj najżywszémi barwami ogień mojéj miłości i ogień mojéj lewéj twarzy, a prosząc o przebaczenie, posłałem do niej mojego berlińskiego kuryjerką z małym bilecikiem. I cóż się stało? *Voyons!*

Było akt rozstanku! Zginąłem! — Trzeba mi było pójść koniecznie, złożyć u nóg jéj moję twarz nabrzmiałą, wręczyć jéj moje zapuchłe oko, i pokazać mojéj Rózi w oczy, moję różę na twarzy; powinienem był przyjść koniecznie, choćbym miał powrócić bez duszy!

Nazajutrz chłopiec pana radzcy sprawiedliwości przyniósł mi karteczkę, ale już nie w orzechu; przyniósł i flaszeczkę w dodatku. W karteczce stało, co następuje:

»Tkliwy poeto! Bez wątpienia ból zębów jest silniejszym niż miłość! Czémże jest gorąca tęsknota w porównaniu z gorącą twarzą? Czémże rozognione serce, w porównaniu z rozognionémi ustami? Kto tak kocha i tak na ból zębów cierpi, ten powinien zrzéć się wszystkiego, oprócz balsamu, który tu dla wćpana załączam, życząc, by uśmierzył wszystkie jego cierpienia. Usącz wćpan kropelkę tego balsamu na ten bilecik miłosny i obwiąż nim swą twarz chorowitą, a obowiążesz tém na zawsze i swoję przyjaciółkę.«

To przeczytawszy, zapuchłem i na drugie oko — i odtąd jużeśmy się nigdy nie widzieli.

Otożto jest miłość i ból zębów!!

— Ze Lwowa. —

Tygodnika rolniczo-przemysłowego wyszedł N. 12. i obejmuje przedmioty następujące: Uwagi nad trzypolowém gospodarstwem. O karmieniu trzody chléwnéj piaskiem. Dokładny i sprostowany rachunek rzetelnego stanu fabrykacyi w cukrowni łancuckiéj w r. 1835/36. Aparat do czyszczenia wódki. Jarmarki na wełnę w Poznaniu, Swidnicy, Hamburgu, Londynie i w Peszcie. Gospodarstwo hrab. Larysza w Szląsku, w państwie Karwin.

Z Warszawy. (Wyimek z listu.) Nasz teatr co do okazałości przewyższył wszystko, co go uświetniało od r. 1763, to jest, od chwili jego założenia w tym kraju. Szczególnie mniejsza komedyja w teatrze *Rozmaitości* wygórowała, i tak jak ję tutaj przedstawiają, mogłaby być przedstawianą w obliczu najdoskonalszych znawców wszelkich narodów. Opera, co do dekoracyj, chorów, orkiestry, jest celującą; w dramach gdy występuje pani Halpert (niegdyś Żuczkowska), zadowalnia, co mówię zachwyca publiczność; przytém jeszcze balety ozdabiaja widowiska. W szkole spiéwu uczy się 40 młodych zwolenników i zwolenniczek, a szkoła baletu składa się z 80 uczniów i uczennic. Wystawienie w końcu zeszłego roku opery *Robert diabeł* kosztowało 152.000 złp.! Trajedyja z wielu względów zupełnie upadła. Żółkowski, syn owego ulubieńca publiczności, stał się wzorowym artystą; jest to oryginał wcale nowego rodzaju i trzeba go widzieć, aby miéć wyobrażenie o jego szczytnym talencie. Co dzień jest widowisko sceniczne koleją na jednym z teatrów, na *Wielkim*, lub na teatrze *Rozmaitości*, a we święta grywają razem na obu teatrach. Tak ogromnych wydatków nie zdołałyby opędzić zwykłe dochody, lecz Książę Warszawski, lubownik sceny, łoży ze skarbu krajowego tyle, aby nie było ubytku. Co zaś będzie istotném szczęściem dla artystów tutejszego teatru, to mająca dojść do skutku emerytura, tak, iż każdy artysta po spędzeniu na scenie warszawskiéj lat 20, dostanie po uwolnieniu go połowę lub więcéj pensyi, jaką pobierał, a po przebyciu lat 30, całkowitą płacę.

Z Pragi. Także za rok bieżący wyszedł tutaj, znany już w roku zeszłym noworocznik czeski: *Wesna, almanach pro kwetaucj swěd.* Drukiem i nakładem Jana Host. Pospiszyla. Noworocznik ten, godny ze wszech miar nazwiska najpiękniejszéj pory roku, mieści artykuły pp. Wrtatka, W. S. Sztulca, J. Er. Wocela, K. J. Erbena, znakomitego piewcy *Córy sławy* Jana Kollára, Jarosława Pospiszyla i J. K. Tyla. Dodanych jest dwie rycin, z których jedna Piotrogrod (Petersburg) wystawia. — W N. 2. r. b. tutejszego pisma czasowego *Kwěty*, zaczęło się wyjęta z naszych Rozmaitości (N. 24 — 25. z r. 1837) powieść naszego wybornego powieścio-pisarza Jadama z Zatora: »Kwestyja o Wilczy-dołek,« przełożona przez znanego w literaturze czeskiéj, a teraz bawiącego w Galicyi K. W. Zapa.

Do uchwały wielkiego sejmu w Prusiech, względem zabezpieczenia majątku literackiego, dodano teraz jeszcze nowy artykuł. Prócz głównéj rzeczy, że każdemu autorowi zapewnione jest jego dzieło na całe życie, a dziedzicom jego na lat trzydzieści po jego śmierci, wzięto także pod opiekę praw własność autorów dramatycznych,

w tym sposobie, iż żadnemu teatrowi w okręgu krajów pruskich, bez ułożenia się z autorem, utworów jego samowolnie przedstawiać nie wolno; w razie zaś przeciwnym ma być zwróconym cały dochód poecie. Rozporządzenie to zapewne dobroczynne pociągnie za sobą skutki, i zniweczy nie tylko ową bezwstydną frymarkę, którą dziełami autorów prowadzą powiększéj części członkowie wielkich teatrów, ale nawet przysporzy więcéj dobrych poetów dla teatru.

Przestroga dla rodziców ubogich. W Peszcie wydarzył się nie dawno następujący okropny przypadek, który na nowo potwierdza, jak wielkiém dobrodziejstwem są *zachowawcze instytuty* dla małych dzieci. Jeden wyrobnik poszedł z rana z swoją żoną do miasta na zarobek i zostawił w domu bardzo małą córeczkę pod dozorem pięcio-letniego chłopca. Dziecię to, jak się domyślać należy, krzyczało zapewne za rodzicami, czego chłopiec nie zniósłszy, wziął nóż i poderznął mu gardło; ale z bojaźni, by go nie skarali rodzice, wlazł do pieca. Matka, powróciwszy do domu, nie szła do izby, tylko udała się prosto do piekarni i podpaliła suche drwa, które już wprzódy w piec nakładła. Chłopiec, przejęty bojaźnią nie śmiał się ani ruszyć, a tém bardziéj wyleźć z pieca. Nieszczęsna matka, zobaczywszy zabitą córeczkę, zajęła się nią do tego stopnia, że sobie nie przypomniała o swoim synu, aż dopiero wtedy, gdy tenże w piecu już się całkiem upiekł.

Spiéwak dobroczynny. To, co o niektórych wirtuozach tylko jako anegdotę rozpowiadają, uczynił nie dawno pérwszy spiéwak przy wielkim teatrze w Lugdunie w saméj rzeczy, widząc jednę ubogą kobiétę żebrzącę na ulicy. Szanowna i przystojna jéj postać przy niezmierném ubóstwie wzbudziła politowanie w artyście. Prosi ją więc, by się za nim na plac *Bellecour* udała; tam przyszedłszy, staje na rogu, opiera się plecami o ścianę, i zasłoniwszy sobie twarz chustką jedwabną, zaczyna spiéwać najpiękniejsze aryje teatralne. Dla pięknego spiéwu zgromadziło się wkrótce około niego mnóstwo ludzi. Domysł, iż w tém zachodzi jakowaś tajemnica, skłonił do szczodrobliwości wszystkich słuchaczy, tak dalece, że nie za długo jego kapelusz napełnionym został frankami. Gdy się spiéwak przekonał, że już dosyć uczynił i zebrał znaczną kwotę, podjął z ziemi kapelusz, i wysypawszy wszystko do fartuszka biednéj niewiasty, zniknął śród tłumu ludzi. Wszelako chociaż twarz miał zasłoniętą, wydał go jednak jego talent; rozeszła się wieść o tym czynie, a następnego wieczora, gdy wystąpił na scenę, huczne oklaski publiczności dowiodły, że dobry uczynek zawsze piękne wydaje owoce.

Złodziéj przyjacielski. Od niejakiego czasu pomnaża się kradzież w Paryżu w nadzwyczajnym sposobie. Dnia 13. stycznia zaledwo jeden lekarz tameczny wyszedł z swego pomieszkania, już jakiś porządnie ubrany mężczyzna, ozdobiony czerwoną wstęgą u guzika, zapukał do drzwi. Gdy mu służący powiedział, że doktor wyszedł z domu i przed wieczorem podobno nie powróci, nieznajomy udał się prosto do gabinetu lekarza, i usiadłszy przy jego stoliku, wziął pióro i zaczął pisać. W tym samym czasie zadzwonił ktoś powtórnie, a służący wyszedł za drzwi na chwilę. Gdy wrócił do pokoju, nieznajomy oddawszy list zapieczętowany, oddalił się z pośpiechem. Doktor rozpieczętowawszy za swém przyjściem bilecik, czytał co następuje: »Nie szukaj wćpan zegarka, któryś dziś na kominku zostawił, gdyż téj chwili jest on w mojéj kieszeni, którą wćpan nie tak łatwo znajdziesz. Służący wćpana nie jest złodziejem, ale wielkim gapiem, ponieważ dozwolił, że wćpana w jego niebytności okradziono. Zalecam wćpanu usilnie, ażebyś go odprawił, i spodziéwam się, że tę przyjacielską radę przyjmiesz jako wynagrodzenie za darunek, który sobie jego kosztem przywłaszczyłem. Najniższy sługa wćpana (podpisano) Capdeville, złodziéj.«

Wiek rzadki. W okolicy Turiffy, w Szkocyi, umarł nie dawno Jan Gordon, który nadzwyczajnego wieku 132 lat doczekał. Żaden podróżny nie zaniedbał odwiedzać tego patryjarchę w jego chacie, dla okazania mu swego udziału. Gordon miał wnuka, mającego lat 72, i syna, mającego lat 93. Wnuk i syn wyglądali starzéj niż Gordon. Ogólny wiek tych trzech osób około trzysta lat obejmował.

Ludność w państwie Algiérskiém. Całą ludność w państwie Algiérskiém podają na 3.520.000 mieszkańca, między którymi jest milijon Arabów, a 300.000 Żydów.

Emancypacyja Tunetanek. Poseł tunetański w Paryżu, nie zaniedbujący w wielkiéj operze żadnego przedstawienia baletu, był nie dawno bohatérem jednéj przygody, którą rozgłosiły dzienniki, i która zrobiła wielkie na wieczorach w *Chaussé d'Antin* wrażenie. Pewien bogaty bankier zaprosił przed niejakim czasem liczne towarzystwo do siebie, lecz nie mało nałamał sobie głowy, jakimby też sposobem wieczor jak najświetniéj urządzić. Chwila niekoniecznie była pomyślną; wszyscy obcy i krajowi spiewacy i wirtuozy byli już zamówieni; tym sposobem ani na muzykę, ani na spiéw liczyć nie było można, a dawca festynu był przymuszony zastąpić ich miejsce czém innem. Będąc w takim kłopocie, nagle wpada mu na myśl, że przyjaciel jego N. przedstawił mu nie dawno na wielkiéj operze i zalecił usilnie przybyłego posła z Tunetu. Nie namyślając się długo, posyła natychmiast bilet zapraszający do tego dyplomata. Bilety zapraszające na wieczory i obiady w Paryżu, ułożone są w sposobie następującym: *M. G. prie M. S. et sa famille de lui faire l'honneur de venir passée la soirée chez lui etc.* Poseł, gdy mu jego tłumacz objaśnił, co się przez słowo *famille* rozumié, skinął z upodobaniem głową na znak, że zrozumiał znaczenie słowa i kazał bankierowi odpowiedzieć, że jego zaproszenie przyjmuje. W oznaczonym dniu zgromadzili się zaproszeni goście w salonie; w tém się roztwiérają podwoje, a służący oznajmia, że tunetański poseł z swoją familiją przybywa. W tym samym czasie wchodzi do salonu spaniały Turek z siwą brodą, orszak jego złożony jest z tłumacza i ośmiu kobiét, ubranych podobnie jak figurantki w komicznéj operze »Kalif z Bagdadu,« to znaczy: w tunikach gazowych, jedwabnych szarawarkach i złotem haftowanych woalach. Poseł prosi gospodarza domu o przebaczenie, że nie przywiózł tylko ośm swych kobiét, a resztę familii swojéj zostawił w domu. Damy znajdujące się w społeczeństwie, zmieszały się niezmiernie, ujrzawszy się w towarzystwie razem z odaliskami seraju. Szczęściem ciekawość poskromiła pomału zbyt ścisłe skrupuły przyzwoitości; z resztą sułtanki te, zachowały się z największą przystojnością. Czerkieski w postępowaniu swojém umiały się tak dobrze znaleźć jak i Paryżanki; przeto harem zostawał w dobrém porozumieniu z salonem, i tym sposobem Wschód obchodził festyn zjednoczenia się z Zachodem, w postaci sorbetu i lodów. — Poseł tunetański wszedł formalnie *en vogue* przez swoję familiją, i od tego czasu weszło w modę zapraszać podróżny seraj na wieczory.

* * *

Sprostowanie. W Nr. 4. Rozm. na str. 29, w przedz. 2giéj, w. 29m, zamiast *rozszérzeniu*, powinno być *mierzeniu*; na str. 31, w przedz. 1széj, w. 60m, zamiast *Koloseum*, czytać *Koliseum*.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*